ROZMAITOŚCI.

Dnia 23. Lipca **N^r^ 30.** **Roku 1842.**

Wspomnienia wojskowe.

III.

Po ukończonéj kampanii w Niemczech r. 1809, dwa szwadrony pułku gwardyi ułanów, zostały odkomenderowane z garnizonu Chantylli pod Paryżem do Hiszpanii, w którymto czasie i z innych pułków kawaleryi gwardyi, tyleż poszło na tę wyprawę żołniérzy.

Oddziały te połączyły się z korpusem francuzkim pod komendą marszałka Bessiéra, który miał utrzymywać na wodzy prowincyje północne Hiszpanii, a szczególniéj starą Kastyliję, gdzie największa liczba była gerylasów, a nadto zwiastowały zawsze przybycie Napoleona do Hiszpanii, co było dla powstańców nie małym postrachem; — nim jednak ta kawaleryja gwardyi poszła w czynną kampaniją, miała przeznaczone miasto Castroberix na dwu-miesięczny spoczynek, tak z trudów kampanii niemieckiéj, jako i po odbytym uciążliwym marszu.

Miasto to położone w żyznéj i kwiecistéj okolicy Kastylii, odległe od Burgos ośm mil hiszpańskich, zamożne, ludne, a szczególniéj odznaczające się wielką liczbą urodziwych Hiszpanek, nader przyjemny dla ułanów polskich zwiastowało spoczynek. Jako też w krótkim czasie przy łagodnym obchodzeniu się naszych żołniérzy, zawiązały się zabawy, związki przyjaźne, a szczególniéj intrygi miłośne, które na długi czas po wymarszu Polaków, zostawiły smutek w sercach czułych Hiszpanek. Po kilkunastudniowym pobycie, mogliśmy spokojnie na kwatérach zasypiać, gdyż sami mieszkańcy naszego komendanta o zbliżeniu się geryllasów uwiadamiali, mimo tego, szwadron służbowy był zawsze gotowy do boju, i kiedy w chwilach łagodnego wieczora, jedni wojskowi pod oknami pięknych Hiszpanek śpiéwali nadwiślańskie pieśni, albo przy muzyce gitary, tańczyli z niémi *bolero,* inni z nabitą bronią około miasta pilnie patrolowali. —

Tak dnia jednego na imieniny szefa szwadronu Stokowskiego, oficerowie zrobiwszy składkę, zaprosili najznakomitszych mieszkańców na wesołą *tertulę;* wieczorem pokoje alkaldego ubrane w kwiaty, zajaśniały rzęsistém światłem, trębacze pułkowi zagrali *fanfarę* i wkrótce ujrzeliśmy zaproszonych gości; byli między nimi poważne matrony, w niedzielnych sukniach ojcowie, i w strojnych mantylach nadobne Hiszpanki; — zabrzękły gitary i przy śpiéwie *sygidyllów,* tańczyły młode dziewice z kastanietami zajmujące *fantango;* a kiedy sorbety, pomarańcze i zawsze ulubioną Hiszpanom czekuladę roznoszą obficie, stanęliśmy polskim zwyczajem z pełnémi madery kielichy, pijąc zdrowie solenizanta, a wtenczas przy odgłosie trębaczy i krzyku Hiszpanek, dwudziestu żołniérzy z karabinków dali ognia na wiwat. — Trwała uprzejma wesołość, zapomnieli Hiszpanie o zaciętéj wojnie, o nienawiści, o geryllasach, nie myśleli w téj chwili, że może niebawnie będziemy mieli z ich synami krwawą przeprawę, i kiedy w noc późną tańczyliśmy Mazura, w którym ładne Hiszpanki nie znając tańca, skakały jednak wesoło; wszedł alkalde i szefowi Stokowskiemu rzekł coś do ucha; dowiedzieliśmy się od niego, że sławny partyzant *Empecinando,* przyszedł do Melgar włości o dwie tylko milę hiszpańskie odległéj od

naszego garnizonu, a tak zamiast dalszego mazura, trębacze zagrali na koń, przestraszone Hiszpanki rozbiegły się do domów, a my dosiadłszy rumaków, stanęliśmy gotowi do boju.

Gdy świtać zaczęło, poszedł porucznik Jaraczewski w pięćdziesiąt koni na podjazd, ujrzał istotnie szwadron geryllasów przed włością Melgar, a mając polecenie nie wdawać się w żadne rozprawy, zaczął w porządku swój odwrót; lecz *Empecinando* ośmiélony tém wstecznėm poruszeniem a nadto ufny w swe siły, kazał swoim huzarom żywo naciérać i kiedy ci mocno się zbliżyli, strzélając z ręcznéj broni do naszych żołniérzy, zwrócił się Jaraczewski, uderzył w środek szwadronu Hiszpanów i w jednéj chwili tych rozbiwszy, znów zaczął swój odwrót; w téj przeprawie miał dwóch ludzi zranionych, z których jednemu spadła czapka na ziemię, do niéj więc leciały geryllasy, gdyż ta miała być ich całą zdobyczą; co widząc porucznik Jaraczewski, krzyknął do swoich ułanów: »Nie dajmy polskiéj czapki Hiszpanom«, a udérzywszy na nich, powtórnie rozpędził, czapkę odebrał i trzech geryllasów wziął do niewoli; w téj chwili nadszedł nasz szwadron, lecz Hiszpany zniknęły.

Po téj rozprawie powróciwszy do Castroherix, znów śpiéwaliśmy *Sygidyllę* i krakowiaki, tańcowali *bolero* i często strzélali do geryllasów, a nakoniec gdyśmy po odebranym rozkazie opuszczali ten wesoły spoczynek, udając się do Valladolid, wszyscy mieszkańcy nas o ćwierć milę za miasto odprowadzili, gdzie przy muzyce trębaczy, przyjaźnych pożegnaniach i łzach czułych Hiszpanek, spełniliśmy po kilka kielichów wina, idąc na nową przygodę z miłym wspomnieniem pobytu w Castroherix.

IV.

Kiedy po krwawym ułumieniu powstania w Madrycie w roku 1808 przez wojska francuzkie pod wodzą Murata, duch zemsty ogarnął całą Hiszpaniję, a lud uchwycił za oręż, wtenczas we wszystkich prowincyjach tego kraju utworzyły się zbrojne hufce pod nazwiskiem geryllasów na wytępienie Francuzów, i wojna przybrała morderczą postać; gdziekolwiek bowiem zdarzyło się tym powstańcom ująć żołniérza francuzkiego, kończył on w ich rękach życie w strasznych męczarniach; dla tego wojska francuzkie działając równie w tym duchu, rozstrzeliwali geryllasów bez żadnego wyjątku w miejsce niewoli.

W takim stanie rzeczy, smutno było częstokroć patrzyć na starców, kobiéty i dzieci, które na wieść zbliżającego się oddziału Francuzów, przejęci strachem, opuszczali swoje siedziby, unosząc z sobą co mieli najdroższego, niepomni nawet, gdzie znajdą schronienie lub gdzie ich noc ciemna zaskoczy.

Tak dnia jednego szwadron pułku gwardyi polskich ułanów, będąc w przedniéj straży oddziału francuzkiego, pod komendą jenerała Rogiceta, ścigał w górach Biskai hufiec geryllasów, zostający pod wodzą walecznego Miny; przeszedłszy skaliste góry i dzikie wąwozy, żołniérze polscy zoczyli zieloną dolinę, a śród téj zamożne miasteczko Ordunia, z którego w przeciwną stronę uchodzili żołniérze Miny, a z niémi strwożeni mieszkańcy. Poszedł szwadron polski w pogoń, lecz geryllasy uszli w niedostępne ustronia, zostawując nieszczęśliwych mieszkańców po drodze; tych żołniérze polscy nawracali do domów, zaręczając im pewność życia i majątku; na samym czele tego szwadronu, pędził podoficer Markiewicz z ośmiu żołniérzami a oddaliwszy się od swéj komendy, między tłumem uciekających, napotkał podeszłą hiszpankę, przystojnie ubraną z dwoma przecudnéj urody córkami, a przy tych trzy muły naładowane ich najdroższym majątkiem; gdy te kobiéty zoczyły polskiego żołniérza, upadły na kolana i w strasznéj rozpaczy, sądząc się być blizkie utraty życia, drżącémi rękami podawały mu worki z pieniądzmi; wstrzymał konia nasz podoficer, spojrzał na nich z uczuciem litości, rzekłszy po hiszpańsku te słowa: »*Jo soj Polaco*« (ja jestem Polakiem), a wziąwszy przestraszone Hiszpanki pod swoją opiekę, z nietkniętym majątkiem odprowadził do ich mieszkania. Pamiętne były te słowa polskiego żołniérza

w Ordunie, bo kiedy we dwa lata powtórnie wkroczyliśmy do Hiszpanii, i ścigając geryllasów, stanęli na rynku tego miasteczka; mieszkańcy niosąc nam żywność z radośném uczuciem, witali Polaków; była między niémi i owa Hiszpanka ze swémi córkami, a ta dostrzegłszy Markiewicza już wtenczas będącego w oficerskim mundurze, witała go ze łzami wdzięczności, nazywając go swym obrońcą, swym synem. Z jak szczérą chęcią życzyliśmy w tém miejscu przyjaźnym, choć dzień jeden wypocząć, ale nielitościwa trąba, po dwu-godzinnym spoczynku, znów dała hasło do marszu i znów poszliśmy za geryllasami w góry i wąwozy, gdzie miłe przyjęcie mieszkańców Orduni, przebiegło jak sen zwodniczy!

S. H.....

Słowo o politechnice.

Pewien jegomość usprawiedliwiał się z swych często ostrych uwag, mówiąc: »Jam kuśnierz, na hurt robię kożuchy — każdemu wolno przypróbować je sobie; zda mu się, niech kupi — a nie? niech zostawi dla innych, którym co prawie będą — bo znajdą się tacy.«

Szkoła politechniczna (szkoła przemysłowa) w Wiédniu, dokąd teraz tyle młodzieży galicyjskiéj uczęszcza, jest jednym z najważniejszych nam zakładów naukowych cesarstwa —: a pytanie, jakie korzyści z niéj dla Galicyi ciągnąć by wypadało — i o ile młodzież tu wysélana stósownie do potrzeb kraju, a odpowiednie trafem nań przypadłemu wyborowi się sposobi, jest pytaniem krajowém. Rozebranie i zaspokojenie tego pytania przy braku dokładnych statystycznych dat przemysłowości kraju przytrudne, wielkie korzyści przynieśćby musiało — przynajmniéj większe, niż nie jedna francuzka powiastka czytana jednego i tegoż samego dnia całym krajem. Lecz i mniéj zupełny rozbiór tego pytania wielom usłużyć może.

Z doświadczenia wiémy, iż zwykle ojciec wysélający syna do Wiédnia na politechnikę, w tę szkołę niepojętą czarów — czarownéj nazwy — nie wié, po co go tam właściwie poséła — czego tam syn jego uczyć się ma — a co winien umiéć powróciwszy — bo chcę wierzyć, że się nie często trafia, że ojciec dla tego z domu go wyséła, bo się chłopiec uczyć nie chce, a do ożenienia za młody, a więc zawadza w domu. — Ojciec wysélający syna na medycynę lub prawo, wié: że będzie miał syna lékarzem lub prawnikiem jak sobie tego życzył i ku czemu wolę syna nagiął. Nie tak z politechniką. Politechnika! a więc wiele umiéć powinien prócz zgrabnego lorynetowania i mniéj zgrabnych manjer od piérwszego lepszego kelnera wiédeńskiego — powinienby coś umiéć, coby zapłaciło koszta tam poniesione przez ojca, a tém samém przez kraj — coby zapłaciło tęskne oczekiwania, gdyśmy słyszeli, że syn pana tego a tego w Wiédniu na edukacyi — a jeszcze w szkole politechnicznéj. — U nas tak mało ruchu przemysłowego — tak mało krajowców usposobionych do prowadzenia istniejących już fabryk. — Lecz cóżmy dostajemy — ? Oto często się trafia, że powracający ledwie kilkoma fałszywie spamiętanémi wyrazami kuglnje — a najwięcéj coś trochę ołówkiem porysuje, nie wiele więcéj nad wzorki do haftów — a gada wiele o tém czego ani widział, a przezto nawet i prawdziwie uzdatnionym wziętość psuje — wszak pomyśli sobie każdy myślą Szyllera: *Damit lockt man keinen Hund aus dem Ofen.* — Ztąd zarazem i to, że przypatrzywszy się z boku ojciec drugi nie pośle już syna swego tak daleko z domu — bo przekonany doskonale, że aby bez sensu gadać i nos w górę zadziérać i tam daléj, nie potrzeba być w Wiédniu, dość być w Milówce, zdrowie zostanie w dodatku do zrzucania snopków i krzyczenia w polu. To co do rodziców.

Równie często zdarza się, że młodzieniec przybywszy tu już na miejsce, zapytany, po co przyjechał — »na politechnikę« — a czego się chcesz uczyć — »jeszcze nie wiém«, odpowiada — o bo to trudno uczyć się wszystkiego, aby się nauczyć, a więc często dopiéro po straceniu roku rozpatrzy się, że trzeba mu było jąc się czego innego — że to albo nie po jego sile, albo nie po chęci. — Lecz raz w téj drodze, szkoda roku cofać się — lepiéj zmarnować wszystko, niż przyznać sobie, że się pomyliło, — idzie daléj rok drugi i trzeci —: Tażto nasza po-ojcowska natura. Taka młodzież gdy wraca do dom, bo i w Paryżu cudów nie robią, trudno aby mogła zachęcić zdatną, pilną młodzież, do rzucania się w ten zawód, który tylko pośmiéch dał swym zwolennikom. I bardzo smutne a rzetelne spostrzeżenie, że wielka część młodzieży téj szkoły składa się z mniéj więcéj majętnych, którzy doświadczawszy daremnie szczęścia w każdéj prawie nauce, wszędzie zrzuceni dla braku zdatności, częściéj pilności — wreszcie jak tonący brzytwy — istni bankruci umysłowi, chwycili się politechniki, gdzie tytuł tajemniczy pozwala próżnować jeszcze parę lat — i zarobić sobie na czczą głowę niby koronkę promieniową, tytuł: »Wiédeński Politechnik.« — Gdy nic innego, tytuł ma i narzékać może śmiało, na brak przedsiębierczego ducha w kraju, choć on gotowy czeka by złote

doliny« zaklinać na koszt cudzy. Takieto pojęcia techniki, tyle przerachowań sprawiły, tak co do rodziców, młodzieży, jak i oczekiwań kraju. Dopóki nie poznamy dobrze téj szkoły—czego się w niéj nauczyć można, a co nam z tego potrzebnieisze—daléj: póki nie obliczymy, czy uczeń téj szkoły może i chce co umiéć—jeszcze daléj: póki nie przyznamy, że szkoła teoryję tylko daje, osobliwie co do szczególnych jéj nauk— i że trzeba pracować u prostych majstrów, by samemu być majstrem (mistrzem), tedy dopiéro możem się spodziéwać tych korzyści, jakie inne kraje ztąd mają. — Lecz my za nadto wygodę lubimy i temuto krydką ładnie, jasno wywodzim »zysk«—ale jeszcze ładniéj, jaśniéj w praktyce bez krydki »stratę.« — Ogólnie zauważać można, że kurs politechniki nie mniéj wymaga pracy, niż kurs medycyny, a dużo więcéj, niż kurs prawa—gdy z drugiéj strony zbyt wiele u nas przesądów jest jeszcze, tak, że zdatniejsi nawet do technicznych nauk przystępują z jakiémś łekce-ważeniem i chcieliby jako z podrzędną tylko wiadomością z niémi się obchodzić: niepomni, że celowanie w nich nie sam grosz ale i zasługę, tém większą, gdy cichszą, około kraju przyniesie. — Wreszcie kto się o to pytał, ten się dowiedział, że można być filozofem, uczonym, będąc zamiłowanym technikiem, pod którém to słowem rozumiém, prócz budowniczych i jeometrów i resztę techników, jakiémi garbarz, mydlarz, lub każdy inny fabrykant. Tak wielu odwiédza świątynię, aby się przypatrzyć gromadce pacierzującéj, zamiast się pomodlić, pogadać z Bogiem. Lecz któżby pisał wszystkie rodzaje krzywych zdań młodego wieku, któż pisze pamiętniki życia jedno-dniowych muszek! (*efemerów*).

Nauki wykładane w szkole politechnicznéj, można podzielić na trzy wydziały: matematyczny — handlowy i chemiczny. — Rolnictwa się tu zatém uczyć nie można, jak mylnie może nie jeden jeszcze sądzi—osobną drogę sposobienia się na Rolnika, spomniemy sobie niżéj. — Żaden z tych wydziałów nie da się ściśle odgraniczyć od drugich—wszystkie wzajem w siebie spływają, i zależy od zdolności osobistéj, czego się ma uczyć na propedeutikę, nim się temu lub temu wydzialowi wyłącznie już odda.

A. Matematyczny wydział obejmuje niższą i wyższą matematykę teoretyczną i zastósowaną. Ten wydział jeszcze najwięcéj znany, najczęściéj przedsiębrany, należnie ocenionym bywa—bo uczeń tego wydziału, jeżli pilnym, już ze szkoły prosto zdolnym być może do praktyki sam przez się. — Wielu młodzieży galicyjskiéj tego wydziału, między niémi kilku szczególnie zdatnych, umieściło się przy kolejach żelaznych. Kurs ten jest cztéro-letnim, i tak go robić można:

I. Rok *a)* niższa matematyka — *b)* technologija — *c)* rysunki.
II. Rok *a)* wyższa matematyka — *b)* fizyka — *c)* rysunki.
III. Rok *a)* praktyczna jeometryja — *b)* mechanika — *c)* rysunki.
IV. *a)* budownictwo — *b)* rysunki.

Po ukończeniu tego kursu, zostaje uczniowi oddanie się wyłączne lub praktycznéj jeometryi, lub mechanice, lub budownictwu. Dla wydoskonalenia się w budownictwie jest tu zakład u Ś. Anny, gdzie jest równie długi kurs poświęcony jedynie architekturze wyższéj, teoryją i praktyką.—

B. Handlowy wydział (komercyjalny), uczy wszystkiego, co potrzeba kupcowi, w obszérném znaczeniu tego słowa, tak co do poznawania płodów, towarów, prowadzenia ksiąg rachunkowych, jako téż i prawa handlowego. — Prócz tego są katedry francuzkiego i włoskiego języka—dla angielskiego zaś Korrepetycyje mało kosztujące, zawsze bywają. — Ten kurs jest dwuletni — w tym zawodzie szczególnie najwięcéj praktyka i praca po-za szkolna zdziałają. Aby zaś wyliczyć przedmioty tu wykładane, pominąwszy te, których się uczy młodzież zwykle w niższych klasach, jako to: jeografiję, historyję, stylistykę, ortografiję, i t. d. Są one:

a) Stylistyka korespondencyi kupieckiéj.
b) Nauka kupiectwa t. j.: kupowania, sprzedawania, płacenia, przeséłania i t. d.
c) Austryjackie prawo handlowe i wexlowe.
d) Merkantylne rachunki, obejmujące wszystkie tak zwane: kalkulacyje, metody skrócania w liczeniu, daléj naukę znajomości monet, miar, wag, i t. d.
e) Kupiecka buhalteryja, pojedyńcza i podwójna.
f) Poznawanie towarów.
g) Jeografija handlowa.
h) Historyja handlu.

C. Chemiczny Wydział dwoma laty szkoły objęty, najbogatszy może korzyściami, najmniéj z prawéj strony widzianym bywa. Uczeń téj szkoły może być prawie wszystkiém, czego tylko potrzeba u nas w kraju, co do fabryk, lecz niczém zwykle bywa przez to, że zwykle ze szkół poséłany tu młodzieniec, z tą szkołą całą swoją naukę jako Chemik kończy; gdy to, czego szkoła uczy, prawie tylko pół-kursem uważać wypada, jeżli obok szkoły niéma zarazem praktyki, obok teoryi zastósowania jéj. — Uczeń z tego wydziału

powinien się wyłącznie po ukończeniu kursu oddać jednéj gałęzi fabryk, wstępując w naukę do fabrykanta (majstra) i na nowo prawie uczyć się jednego ze słuchanych w szkole przedmiotów. — Na cóż mu więc robić kurs szkolny? spyta się może kto, gdy mu się na nowo uczyć potém trzeba? — Pominąwszy to, że znający Chemiję całą, zamiast w kilku latach, w krótkim czasie, w roku jednym nawet, wydoskonalić się może na majstra w wybranym sobie przedmiocie, i ta z tąd korzyść, że nierównie zdolniejszym być musi, niż czysty empiryk, umiejący swój przedmiot tylko z doświadczenia, raczéj z podania jak jego nauczyciel robił — gdy przeciwnie teoretycznie wykształcony Chemik na coraz nowe odkrycia, na coraz nowe wydoskonalenia swych fabryk sam przychodzi — a jakie z tąd przed innémi ma korzyści, to łatwo poznać. — Nadto jeszcze, umiejący całą Chemiję, nie w jednéj tylko gałęzi fabryk pracować może. — Raz obeznany z praktyką łatwo mając teoryję gruntowną i w każdéj innéj fabryce pracować będzie, lepiéj niż zestarzały przy niéj empiryk tylko. Gdyby właściciele fabryk w Galicyi chcieli wysełać ludzi pracujących przy ich fabrykach (rozumié się dozorców teraźniejszych, mających często dość poprzedniczych wiadomości, by robić ten kurs politechniczny, a zbyt praktyków, by wszystko co się dowiedzą w teoryi do już mianéj praktyki zastósować), gdyby mówię ci chcieli wysełać do téj szkoły na swoje nie wielkie koszta ludzi takich, prosto ze szkoły po dwóch latach, dostawaliby tanich a wdzięcznych im fabrykantów. Jestto bowiem zupełnie co innego wejść do téj szkoły z ławek drugiéj szkoły, a z fabryki — jako też zwiédzać fabryki tu liczne, jako teoretyk i praktyk zarazem czy jako czysty teoretyk.

Kurs ten lubo dwu-letni dla praktyków — dla słuchających go bez poprzedniéj praktyki, a nie umiejących matematyki, nazwałbym trzechletnim, a tedy wypada na:

I. Rok *a)* Matematyka — *b)* technologija.
II. » *a)* Chemija powszechna. — *b)* fizyka.
III. » Chemija specyjalna.

Słuchając Chemii specyjalnéj, można lub powtarzać kurs Chemii ogólnéj, lub praktyce się przyglądać, choć same specyjalnéj Chemii uczenie się dość na cały rok da zatrudnienia porządnemu uczniowi. Tu następuje praktyka.

Każdy więc ojciec wysełający syna swego na politechnikę, rozumié się, nic takiego, którego tylko po za oczy z domu wypchać chce, bo sobie z nim rady dać nie może, każdy ojciec powinienby pomyśléć, jaką fabrykę założyć by chciał i może — w jakim więc zawodzie życzy sobie wydoskonalić swego syna, bo przypuszczam, że nikt sobie za wstyd mieć nie może, że syn jego zamiast kłócić się i bałamucić w sąsiedztwie, będzie własnéj fabryki zarządcą, niosącéj mu rocznie więcéj niż wszystkie najdowcipniejsze sprawki, więcéj niż wioska nawet i tytuł. Trzeba mu pomyśléć, czyby przystał na to, że jego syn dobrze urodzony, będzie garbarzem, mydlarzem, blicharzem, gorzelnikiem lub budowniczym, jeometrą, którzy ostatni nie samym cyrklem robić będą, jeźli chcieć będą umieć istotnie swój przedmiot. Tylko po takim wyspowiadaniu się przed sobą, posełać będą swe dzieci nie na zamarnowanie czasu i pieniędzy, a najczęściéj i zdrowia, by przewrotniejszych, niż przedtém obaczyć ich z powrotem do domu. Jeźli zaś syna chce mieć rolnikiem, lubo mu się wszystko przyda, co tylko umieć będzie nie na politechnikę, ale do szkoły weterynarki *(Thierarzenei Institut)* i na kurs gospodarstwa na Wszechnicę posełać go będzie. — Kurs szkoły weterynarki jest dwu-letni, w przeciągu którego wykładane bywają nauki owczarstwa, chowy bydła ogólnie, léczenia bydła, część leśnictwa i t. d. w instytucie, na uniwersytecie zaś kurs ekonomi przez uczonego, a nam znanego profesora Steckera. — Po ukończeniu tego kursu we dwóch latach nastąpi praktyka albo w domu, albo lepiéj w jakiém niemieckiém wzorowém gospodarstwie tak zwaném: *Musterwirthschaft.* Tym, co radziby poznali bliżéj ten kurs, który uważam za kurs rolnikowi najprzydatniejszy, osobno osobnym jéj opisem usłużyć będę chciał. —

Jedno jeszcze, a bardzo ważne zostaje do powiedzenia. Dotąd nie mieli rodzice kontroli potrzebnéj w świadectwach, czy synowie postępują w naukach czy nie. — Potrzebném więc zauważać raz na zawsze, że fałszem jest nazwa piérwszy, drugi, trzeci i tam daléj rok techniki, jak to zwykle u nas najfałszywiéj, a przynajmniéj zbyt zgubnie sądzą. — Można sobie wygodnie pod tą osłoną kilka lat przepróżnować, nie nauczywszy się nic i nie zrobiwszy żadnego egzaminu, a ojcu powiedziéć, że się skończyło cztéry lata techniki. — Corocznie winien się uczeń politechniki wywodzić zaświadczeniami zrobionych popisów — albo tym torem, jak wyżéj wyszczególniono, lub jeźli innym, corocznie dwoma zaświadczeniami z przedmiotów obszérniejszych i to celująco. — Celująco, powtórzyć można, gdy wykłady piękne, nie surowość egzaminów, przy zdatności galicyjskiéj młodzi, z łatwością to uskuteczniać dozwalają. — Zostanie jeszcze dość czasu do kształcenia się i w innych wiadomościach pobocznych i do rozpatrywania się we

wszystkich zakładach i osobliwościach bogatego Wiédnia.

Najważniejsze pytanie nas wszystkich, jakich fabryk kraj więcéj potrzebuje, a więc czy budowniczych, czy kupców, czy chemików, możnaby tedy dopiéro dokładnie opowiedziéć, gdybyśmy mieli dokładną statystykę przemysłu Galicyi — lecz niemniéj dokładnie na tymczasem powiedziéć można, że nie mamy się bać przepełnienia kraju zdatnymi w zawodzie techniki ludźmi każdego wydziału — i spokojnie uczniowie téj szkoły uczyć się mogą, bo kto wié jeszcze, »czy« i »kiedy« krzykną im »basta« już was dość!

Powątpiéwającym uczniom szczególnie Chemii, czy po mozolném, często zrzeczeniami najprzykrzejszémi okupioném ukończeniu szkoły odpowiedzą wreszcie korzyści wszystkim ponoszonym kłopotom śród dawania lekcyi, a pomimo tego niedostatku, rzekłbym ich przyjaciel, że tedy się przerachują tylko: jeźli jedynie po wsiach szukać będą zatrudnienia na potém. — Niech raczéj spojrzą, ile to mamy miast dziś ubogich, lecz dość bogatych dać chleba tym, którzy swą pracą zechcą je podnieść do równi z miastami Zachodu.

Podobnoś się powtórzę, lecz jeszcze raz zauważam, że kurs chemiczny, należycie wzięty najwięcéj obiecuje korzyści dla Galicyi, lecz powiédzmy sobie wprzódy szczérze, a równie szczérze wykonajmy: że każda praca uszlachetnia nas i że prawda, co rzekł Szyller w swym dzwonie:

By mistrza chwała,
W dziele zabrzmiała
Czoło potem zrosić trzeba!

Marcelli S. —

Szkica Londynu.

Prócz szérokich ulic, chodników i nie bardzo wysokich domów, szczególniejszy widok nadaje Londynowi czarna barwa, którą wszystkie przedmioty są powléczone. Nic smutniejszego i posępniejszego wystawić sobie nie można. Czarność ta, nié ma w sobie bynajmniéj tego brunatnego, mocnego cienia, który z czasem starożytne gmachy w północnych krajach okrywa; jestto nietykalny, delikatny pył, który na wszystkiém osiada, wszystko przenika, i od którego ochronić się nie podobna. Rzekłbyś, że budowle te poczérnione są pyłem kopalni ołowiu. Ogromna masa kamiennych węgli używanych do ogrzéwania machin i domów, jest przyczyną téj powszechnéj żałoby gmachów, które tak wyglądają, jak gdyby je na umyślnie sadzą powléczono. Wpływ ten okazuje się mianowicie na posągach. I tak posągi księcia Bedford, księcia York na szczycie kolumny, tudzież Jérzego III. na koniu, tak są zeszpecone i okryte pyłem węglanym, który w Londynie jakby z nieba spadać się zdaje, iż zupełnie do Murzynów lub kominiarzy są podobne. Więzienie Newgate, wszystkie gzymsy, floresy, starożytny kościół Zbawiciela, tudzież kilka kaplic gotyckich, zdają się być wzniesione raczéj z czarnego granitu, niż wpływem czasu poczerniałe. W żadném inném kraju nie ujrzysz téj czarno-ciemnéj, posępnéj barwy, która wszystkim gmachom Londynu, przesłoniętym mgłą wieczorną, widok wielkich katafalków nadaje, i sama jedna znany *spleen* Anglików dostatecznie wyjaśnia. Patrząc na mury sadzą zczerniałe, nasuwają się na myśl Alkazar i katedra w Toledo, które słońce purpurową, i, jak szafran żółtą szatą osłania. Podobnież posępny wpływ wywiéra atmosfera Londynu na kościół św. Pawła, to niedołężne naśladowanie kościoła św. Piotra w Rzymie, który jednakże co do wypukłéj kopuły i dwóch czworo-bocznych dzwonnic, z Panteonem i Eskuryjalem porównać można. Pomimo, że ciągle się starają utrzymać jego białość, przecież kościół ten zawsze jest czarny, przynajmniéj na jednéj stronie. Nadaremnie powlékają go ciągle farbą: delikatny pył węglany, którym mgła wszystko okrywa, szybszym jest niż kwacz pomazacza. Kościół św. Pawła stawi nowy dowód, że forma kopuły z Oryjentu jest wzięta; w niebo północne, idą kolce i ostre wieżyczki budownictwa gockiego. Niebo Londynu, nawet gdy jest pogodne, ma tło siwawe, w którém więcéj białość się przebija; błękit jego jest znacznie bledszy, niż widokręgu Francyi; w wieczór i z-rana okryte są ulice mgłą i wszelkiémi wyziéwami. Londyn podczas słońca zieje parą podobnie jak koń spocony, albo jak kocioł wodą wrzący; przezco w wolnych przestrzeniach powstaje on szczególniejszy widok światła, który akwareliści i ryciniarze angielscy tak misternie oddawać umieją. Nieraz przy najpiękniejszéj pogodzie niepodobna z portu rozeznać mostu Southwark, który jednakże nie bardzo jest oddalony. Ten, nad całém miastem rozpostarty dym, zaciéra ostre kąty, kryje przed naszém okiem niedołężne budownictwo, powiększa perspektywę i najjawniejszym nawet przedmiotom nadaje coś tajemniczego i nie pewnego. Przez ten dym, komin machiny parowéj wydaje się być obeliskiem, lada-jako zbudowany magazyn, wygląda jak taras babiloński, a licha kolumnada, zdaje się być portykiem Palmiry. Dobroczynna opona ta łagodzi

lub całkiem zaciéra oschłą jednostajność cywilizacyi i form, w których się ona objawia. Będąc w Londynie łatwo spostrzeżesz, że angielskie dziecięce zabawki poważniejsze są niż nasze. Nie wiele tam znajdziesz bębenków, piszczałek, a prawie żadnych *hanswurstów* i żołniérzy, ale wtomiast ujrzysz mnóstwo okrętów parowych i żaglowych, kolei żelaznych, lokomotywów i wagonów na małą stopę. Szkła w latarniach czarodziejskich czyli tak zwanych katarynkach, zamiast przedstawienia przypadków Żokrysów lub innego podobnego przedmiotu, przedstawiają kursa astronomii. albo kompletny system planet. Znajdziesz między niémi także zabawki budownicze, w których z pojedynczych sztuk wszelkie rodzaje budowli złożyć możesz i krocie innych jeometrycznych i fizykalnych zabawek, któreby naszą dziatwę nie bardzo zajmowały. Przedawca materyi zwanej *Mackintosh*, wymyślił dla siebie szyld bardzo dowcipny. Dla udowodnienia naocznie, że materyja jego nie przepuszcza wody, zawiesił w ramach *mackintosh* nakształt sakwy, i w nią wody nalawszy, wpuścił kilka złotych rybek, w której się swobodnie pluszczą. Zrobić z sukni sadzawkę i postarać się o to, aby każdy w swojéj kieszeni mógł wędką ryby łowić, jestto niezawodnie prawdziwy ideał uwiadomienia, najwyższe wydoskonalenie szarlatanizmu! Widok Londynu sprawia wielkie imponujące wrażenie. Jakoż w samej rzeczy Londyn jest stolicą w najwyższém tego słowa znaczeniu. Wszystko jest tam wielkie, przepyszne i podług najnowszego ulepszenia urządzone. Ulice są długie, szerokie, jasne. Wygoda jest przedmiotem największéj staranności. Paryż w téj mierze najmniej o sto lat pozostał w tyle od Londynu, a nawet zdaje się, że sam rodzaj budowy jego przeszkadza, aby kiedy w tym względzie Londynowi sprostał. Domy angielskie są bardzo lekko zbudowane, ponieważ grunt na którym je wzniesiono, nie należy do tego, co je wznosić każe. Cała gruntowa posiadłość miejska podzielona jest podobnie jak w średnim wieku, pomiędzy bardzo małą ilość panów milijonowych, którzy za opłatą czynszu, na swoich realnościach domy stawiać pozwalają. Pozwolenie to uzyskuje się na czas niejaki, przeto właściciele starają się o to, aby ich domy nie dłużéj jak tylko do czasu ich dzierzawy trwały. Ta okoliczność połączona z lichością użytego materyjału jest przyczyną, że Londyn co lat trzydzieści się odnawia, i że odpowiednie odmiany według postępu cywilizacyi z łatwością zaprowadzić może. A przytém i to dodać należy, że pożar w roku 1666 szerokie do tych odmian otworzył pole. Duch ludu angielskiego już z natury swojéj jest metodyczny; każdy Anglik idąc ulicą, prawie instynktem trzyma się prawéj strony, z tąd formują się regularne szeregi osób, z których jedne ulicą na dół a drugie w górę idą. Garstka żołnierzy jest dla Londynu dostateczną, a prócz tego mała ta garstka nie ma z policyją nic do czynienia. Rzadko gdzie ujrzysz dom strażniczy; policyjańci z numerowanym kapeluszem na głowie i opaską na ramieniu chodzą spokojnie i z filozoficzną miną po najludniejszych dzielnicach miasta, bez wszelkiéj innéj broni, jak tylko z małą laską mającą ledwie dwie stóp długości. W przypadku niespodzianego zaburzenia zwołują się nawzajem grzechotkami. Ten, że tak rzekę, ogromny prąd, ten straszny, zawiły ruch, jest prawie sam sobie zostawiony, a śród zgiełkliwéj ciżby nie ujrzysz nigdy powodu do nieszczęsnych przypadków. Ludność londyńska wygląda nędzniej niżli ludność paryska. W Paryżu robotnicy, osoby niższéj klasy, noszą odzież, która właściwie dla nich podług miary jest zrobiona, chociaż z grubszéj materyi, przecież ma swój krój właściwy. A choć ich suknia dzisiaj podarta, przecież widać, że w niéj chodzili, gdy jeszcze była nową. Gryzety i najemnice chociaż skromnie ubrane, są jednak schludne i porządne. W Londynie ma się rzecz inaczej; tam każdy, nawet on biedak, który ci drzwiczki u powozu otwiera, dla zarobienia sobie kilku feników, chodzi w czarnym z długiemi połami fraku i w spodniach z strzemiączkami. Wszystkie kobiéty chodzą w kapeluszach i w damskich sukniach, tak, iż na pierwsze spojrzenie zdaje ci się, że widzisz same osoby z wyższéj klasy, które bądź przez nieporządny sposób życia, bądź przez nieszczęście z-ubożały. Pochodzi to z tąd, że lud londyński u tandeciarzy sukien nabywa i suknia dżentlemana przechodzi stopniowo aż na grzbiet publicznego ulic zamiatacza, a satynetowy kapelusz księżnéj, dostaje się na głowę najniższéj służebnicy. Nawet w St. Gilles, najnędzniejszéj dzielnicy miasta, przez Irlandczyków zamieszkałéj, która co do ubóstwa przechodzi wszystko, co tylko okropnego i obrzydliwego sobie wyobrazić można, ujrzysz osoby w kapeluszach i czarnych frakach, pozapinanych najczęściéj na gołém ciele, które im przez dziury przeziera; — a przecież dzielnica St. Gilles jest tylko na dwa kroki od pysznéj dzielnicy *Oxford Street* i *Piccadilly* oddalona. Przeciwieństwo to nie jest złagodzone żadném stopniowaniem jakiegobądź rodzaju. Od największego bogactwa jeden tylko krok do największego ubóstwa. Żadnego powozu nie spotkasz w tych przepełnionych gnojem i kałużami zaułkach, po których obdarte dzieci się wałęsają. Ujrzysz tam dorosłe, bose i nagie tylko brudną szmatą z przodu przesłonięte dziewczęta, które obłąkanym i dzikim wzrokiem na ciebie poglądają. Jakiż wyraz ciérpienia, niedostatku i nędzy nie maluje się na tych chudych, wynędzniałych, odrażających i od mrozu stretwiałych twarzach! Znajdziesz między niémi takich nędzarzy, którzy od czasu jak ich od piersi odłączono, nieustannie głód ciérpieli; żyją oni dziennie tylko kilkoma ziemniakami, a rzadko kiedy kęs chleba im się dostanie. Przez ten ustawiczny niedostatek psuje się w nich, podług zdania lekarzy, krew tak dalece, iż się czerwoność jéj w żółtość zamienia. W St. Gilles ujrzysz poprzylépiane na domach kartki z następującém obwieszczeniem: »*Umeblowana piwnica do najęcia dla bezżennego*.« Z tego obwieszczenia można już sobie dostatecznie wyobrazić to miejsce. Wejdźże przez ciekawość do jednéj z tych piwnic, a przyznasz, żeś nigdy nie widział miejsca, któreby tak mało do mieszkania podobne było, a przecież w tych jaskiniach tysiące ludzi umiéra. Oto jest odwrotna strona owéj słynnéj cywilizacyi angielskiéj; ogromne bogactwo tem bardziéj uderza, widząc obok niego tak wielką nędzę; aby kilka osób miało wiele do pożarcia, mnóstwo głodem mrzeć musi! Im wyższy pałac, tem głębszą kamieni kopalnia; niestósowność ta nigdzie bardziéj nie uderza jak w Anglii. Być ubogim w Londynie, jestto doznawać jednéj z tych męczarń, o któréj Dante w swojém *Piekle* przepomniał. Pieniądze mieć, jest w Anglii jedyną uznaną zasługą. Ubodzy już między sobą jedni drugimi pogardzają, i dla tego cierpliwie znoszą wzgardę majętnéj i bogatéj klasy.

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 28. i obejmuje: 1) O porze i sposobach obsiewania gruntów. (Dokończenie). 2) Czy należy dawać ssać cielętom, czyli je zaraz od krów odłączać. 3) O sposobie wyrabiania krochmalu. 4) Wiadomości czasowe: Przedmioty i py-

tan'a, które na szóstém zgromadzeniu niemieckich gospodarzy wiejskich i leśnych w Stuttgardzie 21. września r. b. roztrząsane i wyłuszczane będą i w. i.

Ner 14. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Guwernery. 2) Ułamek z powieści »Pustelnik« przez H. K. 3) Małe nieszczęście, obraz z życia paryskiego. 4) Wiersz: Do przyjaciela w Karpatach. 5) Papiér, z pism Benjamina Franklina.

Piśmienictwo czasowe rossyjskie. W Rossyi wychodzi obecnie 53 pism czasowych. 1) Gazeta moskiewska. 2) Gazeta gubernijów. 3) Uwiadomienia senatu. 4) i 5) Gazeta petersburgska rossyjs. i niem. 6) Magazyn obrazów. 7) Dziennik dla gosp. rolnicz. 8) Moskwicin. 9) Dziennik Therapeutyczny. 10) Roczniki towarzystwa ogrodniczego. 11) *Bulletin scientifique*. 12) Inwalid rossyjski. 13) Gazeta literacka. 14) Gazeta senatu. 15) i 16) Gazeta handl. niem. i ross. 17) *Journal de St. Petersbourg* 18) Gazeta górnicza. 19) Dziennik przemysłowy i handlowy. 20) Syn Ojczyzny. 21) Północna pszczoła. 22) Dziennik wojenny. 23) Dziennik wojskowo-medyczny. 24) Dziennik ministeryjum spraw wewnętrznych. 25) Czytania dla Chrześcijan. 26) *Revue étrangère*. 27) Dziennik ministeryjum publicznego oświecenia. 28) Polski Tygodnik Petersburski. 29) Przyjaciel zdrowia, popularne pismo medyczne. 30) Dziennik leśniczy. 31) Gazeta rolnicza. 32) *Journal d' Odessa*. 33) Współczesny. 34) Anthologija muzyczna. 35) Dziennik aptekarski. w niem. jęz. 36) *Repertoire*, zbiór koncertów. 37) 38) i 39) Thalia, Filomela i Wieczory Muz, trzy pisma muzyczne. 40) Mody paryskie. 41) Czasopismo dla ludzi wielkiego świata. 42) Wiadomości przemysłowe. 43) Dziennik komunikacyi krajowéj. 44) Nowelista. 45) Dziennik weterynarski. 46) Gazeta politechniczna. 47) Latarnia morska. 48) *Messager de Petersbourg* 49) Poseł Rossyjski. 50) Ekonom. 51) Dziennik ministeryjum dóbr skarbowych. 52) Repertoarz sceny rossyjskiej. 53) *The St. Petersburg english-reviev.*

Postrzeżenia astronomiczne. Pewien Anglik nazwiskiem Luke Howard, który od lat czterdziestu starannie czynił postrzeżenia meteorologiczne, ogłosił teraz publicznie skutek swych uwag, w czasie dwóch okresów zawierających po ośmnaście lat, z czego się wielkie podobieństwo między oboma temi okresami okazuje. Howard jest całkiem tego przekonania, że w każdym okresie jeden szereg lat ma wyższą, a drugi szereg ma niższą od średniéj temperaturę. Przeto miło nam jest donieść, żeśmy właśnie w tym roku doczekali końca zimnego szeregu lat, i że się do cieplejszego zbliżamy. Pan Howard wnosi z tąd, że następne lata będą przyjemne, ciepłe i w płody ziemi bardzo obfite. Wiadomo, że słońce, księżyc i ziemia po upływie lat ośmnastu wracają znowu na dawne stanowisko, w którém się na początku okresu znajdowały. Podług teoryi Howarda, temperatura, wilgotne powietrze i wiatry zależą od różnych położeń słońca i księżyca do ziemi.

Wykalanie się zębów po raz trzeci. Doktor Poddraca podał do powszechnéj wiadomości, że pewnéj zakonnicy w Wenecyi mającéj lat dziewięćdziesiąt, po raz trzeci nowe się zęby wykłuły, którytо wypadek w antropologii do najrzadszych zdarzeń należy. Doktor ten dodaje, że pierwsze wykalanie się zębów było bardzo trudne; drugie zęby utraciła wielebna ta pani w czterdziestym piątym roku swego życia; po upływie po raz drugi lat czterdziestu i pięć, zaczęły się znowu wykałać zęby, ale wykalanie to było bardzo niebezpieczne i od czasu do czasu z najsroższym bolem połączone. Jakoż zakonnica umarła podczas tego ostatniego odnawiania się zębów, z których sześć po upływie trzech lat przemocą się z dziąseł wyparło, a więc w dziewięćdziesiątym trzecim roku życia téj zakonnicy.

Szykobiegacz. Mensen Ernst w jednym z swoich listów do księcia Pückler-Muskau, z którym jako człowiek jenijalny w wielkiéj zostaje zażyłości, ubolewa bardzo nad tém, że się dotychczas do woli nabiegać nie mógł, ponieważ cały stary świat, a mianowicie Europa nazbyt rzekami i górami jest poprzerzynana. Step lüneburski, debreczyński, marchija brandeburska i Landes we Francyi, są to wprawdzie piękne równiny, ale dla małéj przestrzeni ani wzmianki niewarte. W krótkim czasie starać się on będzie na płaszczyzny Środkowéj Azyi albo w stepy amerykańskie zrobić małą wycieczkę, która dla jego zdrowia koniecznie jest potrzebna. Na drodzę z Syryi do Egiptu tak się był rozpędził, iż omal w Czerwone morze nie wleciał, które tylko o jednę milę od niego oddalone było.

Pomysły Händla. Händel był wielkim amatorem smacznych potraw i napojów, chociaż muzyczne jego utwory są idealne i wzniosłe. Pewnego razu otrzymał w darze dwanaście butelek wybornego szampana. Widząc, iż tego nektaru jest zamało, aby nim uczęstować mógł swych przyjaciół, schował go dla swego prywatnego użytku. Wkrótce potem gdy miał u siebie na obiedzie towarzystwo, zachciało mu się wychylić szklankę swego wybornego szampana, ale nie wiedział jakimby sposobem przyzwoicie od stołu się oddalić. Nagle przybrał zamyśloną postawę i przecierając sobie czoło, rzekł: »Co za przewyborny pomysł przyszedł mi do głowy!« Towarzysze sądząc, że mu istotnie jaka wielka myśl do głowy przyszła, którą on chciał na papiér przenieść, patrzyli nań z zadziwieniem jak wybiegł z pokoju. Händel powrócił znowu do przyjaciół i niezadługo miał znowu drugi, trzeci i czwarty pomysł. Jeden z jego towarzyszy, któremu te częste odwidziny Ś. Cecylii podejrzanémi być zaczęły, poszedł z-cicha za Händlem do przyległego pokoju i spostrzegł jak tenże zbliżywszy się do szafki, zamiast przeléwania pomysłów na papiér, nalewał szampana w kieliszek i jeden po drugim łykał. Rozgłoszony wypadek ten zabawił towarzyszów, i od tegoto czasu »pomysły Händla« poszły w przysłowie i znaczą: spijać szampan sam na sam.

Pewien kramarz angielski, który prowadząc handel rumem i innemi likworami, uzbierał znaczny majątek, żył od niejakiego czasu jak *gentleman* i członek wielu towarzystw wstrzemięźliwości, bardzo wygodnie w swojéj wiosce. W tym ostatnim charakterze starał się wszystkich swych sąsiadów odwieść od używania gorących napojów, i uwielbiał przed nimi zalety herbaty. »Sąsiedzie Tomaszu«, rzekł między innymi do jednego z swych dawnych gości, »gdybyś był nie pił tyle rumu i wódki jałowcowéj, mógłbyś dzisiaj ekwipaż trzymać.« — »Słusznie mówisz«, odrzekł Tomasz, »a ty byłbyś wtedy woźnicą u mnie.«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.